



## POCHÓD ZA DNIEPR

Dymitr wyrusza do Lwowa ◦ Ciągnie pod Gliniany ◦ O powadze towarzystwa husarskiego, kozackiego i petyhorskiego ◦ Zwada w obozie ◦ Tajemnica Dworyckiego ◦ Chorągiew husarska ◦ O konnych obrotach ◦ Piękne jest koło rycerskie ◦ Duma ukraińska ◦ Babie lato ◦ Komu dał Bóg serce męskie ◦ Boczkiem przed panem Ostrogskim ◦ O Kijowie prawosławnym ◦ Żalobna spowiedź i niewesoły los Borysa

*Die 23 augusti, Anno Domini 1604*  
*Zamek w Samborze, o świcie*

**W**yszli z Sambora prosto w białe smugi oparów wi-  
szących nad naddniestrzańskimi łąkami w ten czas,  
kiedy pierwsze ptasie głosy odzywają się w gęstwi-  
nie drzew. Długim korowodem przesuwali się ludzie, konie, ko-  
lasy, rydwany, brożki i skarbne wozy. Szli na Moskwę; na wielką  
wojnę, a może i śmierć na lodowych bezmiarach. Na szczęście  
kostucha była jeszcze daleko. Na razie odgradzał ją od nich  
Dniepr, zielone pola Ukrainy, bagna i niezgłębione lasy Za-  
dnięprza tworzące niedostępną granicę Korony Polskiej. Wie-  
le mil było do przejścia, wiele dni do przebycia od wschodu do

zachodu słońca, więc przyszłość rysowała się na razie złotymi zgłoskami na jedwabnym pergaminie.

Zabrzmiały trąby, zagrzmiały działa, gdy Dymitr w husarskiej zbroi, na dzielnym siwym wierzchowcu i z buławą w rękę wyjechał przed bramy niższego zamku. Za nim na koniu wieszono obraz Matki Boskiej, który na tę wyprawę podarował mu jaśnie oświecony wojewoda sandomierski. A jako eskorta ikony, zbrojna w puklerze wiary i anielską cierpliwość, postępowali na gniadych biegunach dwaj kapelani zbrojnej wyprawy: Kasper Sawicki i Fryderych Bartsch.

Dalej szła chorągiew nadworna Mniszchów, na czele której jechał sam wojewoda sandomierski mający u boku Adama Dworyckiego. Przyszły carski teść i książę siewierski rozpierał się na ulubionym tarancie w terlicy okrytej czoidarem, czaprakiem z najprzedniejszego złotogłowiu, zdobionym złocistymi frędzlami i wyszywanym w barwy rodowe – srebro i karmazyn. Wojewoda pomimo swego nikczemnego wzrostu trzymał głowę równie wysoko co strusie pióra w klejnocie rodowym, a jego myśli nie odgadłby najbiedniejszy kabalista. Oto był początek krętej drogi do moskiewskiego carstwa i nikt, bodaj nawet sam Mniszech, nie wiedział, czy rzeka ludzi, którą wprawił w ruch tego sierpniowego poranka w Samborze, uniesie go do chwały, sławy i wydarzeń, o których pisać mieli wielcy dziejopisarze. Czy też poniesie, niczym rozhukany koń, prosto w objęcia wrogów, do moskiewskiej tiumny, a potem – w ręce carskiego kata.

Dalej szła husaria; chorągiew Jana Fredry, kasztelana przemyskiego, porządnie okryta, licząca ponad sto koni. Towarzysze jechali w szyszakach przybranych piórami, w kirysach i naramiennikach osłoniętych skórami tygrysów, lampartów i wilków, rozparci w kulbakach niczym na biesiadzie, równym, ładnym krokiem, dziesiątkami. Błyszczeli blachami naramienników i wypolerowanymi nakarczkami hełmów, uzdami zdobionymi srebrem, złotem, jaspisami i koralami, a także pozłocistymi blachami na łbach końskich, nabijanymi karneolami i rubinami wielkimi niczym kurze jaja. Za nimi szła muzyka, dalej pocztowi,

jeszcze bez drzewek, jak nazywano kopie, które zamówione przez wojewodę czekały we Lwowie i w Glinianach.

Dalej podążał dwór Dymitra – Polacy i Moskale, ci wszyscy, którzy czepiali się carskiego słowa jak tonący tratwy, gromadzili za jego plecami, deklarując się wiernymi obrońcami Jego Carskiej Miłości, a tak naprawdę nikt nie był pewien, czy będą stać dzielnie niczym lwy, czy też w obliczu wroga rozpierzną się na cztery strony świata jak kuropatwy na widok jastrzębia. Między wojskowymi, którzy w Sokolnikach i Glinianach mieli dołączyć do oczekujących chorągwi, jechał Jacek Dydyński z poczem. Za nim bracia Jan i Stanisław Buczyńscy z czeladzią, pacholkiwie i dworzanie Mniszchów. Z tyłu, za rycerstwem, postępowały wozy i kolasy misji mnichów i księży, którzy szerzyć mieli wśród pogańskiej Moskwy Słowo Boże, ucinając mieczem wiary wszystkie łby schizmatyckiej hydry. Jechał więc ksiądz Franciszek Pomaski, kapelan zamkowy, który – jak powiadano – spraktykował Dymitra Iwanowicza do powrotu na łono Kościoła rzymskiego, jego brat Stanisław, a także siedmiu bernardynów, wśród nich zaś prowincjał zakonu Benedykt Anserinus, niegdyś wychowawca Maryny; człek zwany Gąsiorkiem nie tylko przez wzgląd na zacny kałdun, ale i przepaściste gardło, które u bernardynów często bywało najlepszą rękojmnią do klasztornej kariery. Teraz piastował świeżo nadaną godność komisarza spraw moskiewskich, zważywszy zaś na wielką miłość Moskali do horyłki i trunków wszelakich, wydawał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Bo jeśli nawet nie przekonałby ich, iż nieomylność papieża jaśnieje niczym gwiazda na niebieskim firmamencie, to jednak na pewno podzielałby jego uwielbienie dla pomroczości jasnej.

Z tyłu ciągnęły tłumy pospólstwa i szarej zbieraniny, która od tygodni obozowała pod zamkiem. Szli tam ludzie silni i słabi, naiwni i ulegli, żądni zaszczytów i pieniędzy, przegrani, intryganci i uczciwi. Polacy, Moskale, Włosi, Niemcy, Holendrzy, Kozacy i sam jeden Bóg wie kto jeszcze.

Za nimi z łoskotem, skrzypieniem osi, rżeniem koni i ciężkim brzękiem wyładowanych wozów szła cała zamkowa artyleria wiedziona przez Jana Ostromęckiego, czyniąc tak wielki huk, że zdawać by się mogło, iż drżały w posadach mury Sambora. Dział wieziono na wozach aż dwadzieścia cztery, niestety, większość zdałaby się na przepiórki, była bowiem wagomiaru, czyli kalibru równie małego co wzrost Maryny. Na przedzie wprawdzie przysadziste konie ciągnęły – po dwanaście w jednym szorze – pannę strzelającą dwudziestofuntowymi kulami, za nią jednak szło sporo drobiazgu, a więc wężownice Bello-na, Pallada, Minerva, za nimi zaś kołysały się na kamieniach i wybojach słowiki, jaszczurki, sokoły oraz najmniejsze, zaledwie dwu-, trzyfuntowe czechliki, które wtórować miały swoim kwileniem starszym braciom w chórze, co ponieść miał głos carskiego imienia aż po sam Kitaj i lody Północy.

Przy działach szedł równym, mocnym krokiem lud ogniasty: Niemcy, Polacy, Szkoci w kaftanach i kapeluszach, w płyt-kich trzewikach, z których większość mieli pozostawić na moskiewskich bezdrożach. Maszerowali puszkarze – mistrzowie i czeladnicy, a obok cieśle, ślusarze, kopacze i kowale. Za nimi zaś posuwały się wśród trzasku biczu i łoskotu kopyt wozy taborowe załadowane kulami, wielkimi kręgami ołowiu, pakułami, smołą i beczkami z prochem.

Z tyłu zdążyły karawany kupców i zbrojnych sług. Jechał na wozach z rzeczami Dymitra lwowski Ormianin Szymon Boguszowicz, który uwiecznić miał na obrazach panowanie cara. A za nim szły karawany pełne towarów należących do żydowskich kupców z Sambora i Przemyśla, a także skarbniki i kolasy Antonia Riatiego Bolognesa, kupca i dworzani-na Mniszchów.

Z tyłu posuwało się całe mrowie pieszego i obszarpanego ludu gościńca. A także chłopci, którzy na widok zbrojnych wybiegali z chałup, potem zaś ciągnęli za nimi przez jakiś czas zagonami, na których brązowiały jeszcze nie zabronowane ścier-niska po sprzątniętym zbożu.

Jadący po prawej ręce Dydyńskiego Świrski obejrzał się na ciągnący za nimi korowód, kupieckie wozy i nieliczne działa, a potem pokręcił głową i dla dodania sobie animuszu – pokręcił wąsa.

– Powiadają – rzekł wesoło – że tylko na zamku w Smoleńsku car Borys Godunow ma sto puszek burzących, samych jaszczurek i bazyliisków! A ludu zbrojnego na jego wezwanie stanie ponad pół miliona.

– Powiadali Krzyżacy wieki temu, że Królestwo Polskie rozkroją jak postaw sukna – odparł Dydyński. – A gdzież oni są teraz? Pokaż mi, waszmość, choćby jednego komtura! Pisał kiedyś moskiewski tyran Groźny w listach do króla Stefana, aby mu odstąpił nie tylko Inflant, ale Litwy i połowy Rzeczypospolitej, to zrobi go w swoich dobrach podstarościm. A nie tylko Połock i Wielkie Łuki wzięliśmy, ale i Psków osaczyliśmy jak niedźwiedzia w ostępie, a Janusz Zbaraski osmalił brodę cara Iwana pod Toropcem.

– A widzisz tu acan w naszych szeregach drugiego króla Stefana? Albo chociaż Zamoyskiego?

– Pewnie, że widzę – zakonkludował jadący z drugiej strony Nieborski. – Bo powiadają, że Dymitriaszka jest bękartem króla Stefana. A więc przewodzi nam krew z krwi Batorych, którym szczęście wojenne zawsze dopisywało.

Pochód Dymitra szedł. Przez wzgórza i lasy ziemi lwowskiej na Sokoliki, w stronę Jaworowa. I potem na Lwów.

I dziw nad dziwy, lecz jego wojska i stronnicy rośli w siłę. Z miasteczka do wioski, z zaścianka do dworu, z dworu do chaty, z bazaru na targowicę, wszędzie szła wieść o tym, że przyszedł car moskiewski idzie z Sambora, prowadzony przez skrzydlate rycerstwo, aby odzyskać Moskwę i koronę. Wszędzie tam, gdzie jego pochód przewinął się obok glinianych chałup i słomianych strzech, kmiecie padali na kolana przed ikoną Matki Boskiej Samborskiej, błogosławieni przez popów i księży. Lecz jeśli pochód mijał dwór albo szlachecki zaścianek znaczoney krzyżem ze skrzyżowanymi szablami i chałupami z gankiem, tam ot-

wierały się dębowe i sosnowe wrota, a potem wyjeżdżała spoza nich szlachecka młodź konno i zbrojno, z wozami i czeladzią, albo tylko samotnie, komunikiem, pomnażając siły Dymitra.

Przyjmował ich wszystkich, błogosławiąc prawosławnym chrestem. I serce rosło, widząc, jak z dolin i gór, z lasów i pól ciągnął uzbrojony lud szlachecki, na podobieństwo strumieni, które gdy zejdą się w jedną rzekę, popłyną wielką falą rozbijającą na strzępy szyki nieprzyjaciół.

Po trzech dniach dotarli do Sokolników, o milę i stajanie od Lwowa, nad potokiem Zimna Woda płynącym do Skniłowa. Minęli chaty i dwór leżący w głębokiej dolinie, przebyli potok Szerkę. A potem, przeszedłszy obok folwarku Hołdy i posady Na Stryjskiem, ruszyli na sam Lwów, gdzie już czekano na nich z uczcą.

Był dwudziesty dziewiąty dzień sierpnia, gdy miasto powitało ich biciem w dzwony i armatnimi wystrzałami. Królewski gród przewinął się wokół nich jak sen i po dwóch dniach Dydyński niewiele zapamiętał z przejazdu. Może tylko, iż tego samego dnia Dymitra Iwanowicza witał oracją jezuita Adrian Radzyński imieniem całego kolegium jezuitskiego. A potem carewicz asystował w katedrze lwowskiej przy Przenajświętszej Ofierze, słuchając kazania.

Już następnego dnia wyszli z miasta na wschód, na Moskwę, a kierując się zrazu na Gaje i Gliniany, zabrali do orszaku cara dwóch jezuitów – Jędrzeja Ławickiego i Mikołaja Cyrowskiego z kolegium w Jarosławiu, znanych z ciętych odpowiedzi i sztuki prostowania sprytnymi słowami pokręconych ścieżek wiary kalwinistów i zwolenników luterskiej nauki. Teraz zasłysnąć mieli w nawracaniu grubych Moskali na jedyną ścieżkę wiodącą do raję.

– Ciekaw jestem, co się stanie – zapytał sam siebie półgłosem Dydyński drugiego dnia marszu – jeśli carscy hetmani wysłą przeciw nam liczniejszy podjazd? Na miły Bóg, zacna jest kompania Dymitriaszki do picia, ale kiedy pojawi się sroga kupa Moskali, nakryją nas czapkami i kołpakami!

– Nie ogniem i mieczem – odparł jadący na czele pochodu Dymitr Iwanowicz, jakby słysząc słowa dumnego sługi – ale imieniem samym straszonym i świętym gosudara Iwana, batuszki mojego, będziemy wojować. A jeśli Wszechmocny łaskę nam okaże, w Jego imię sprawiedliwie zwyciężymy!

– Wojsko za nami idzie Jego Królewskiej Mości! – perorował Mniszech z konia do szlachciców, którzy wahali się, czy poprzeć wątpliwą w ich oczach sprawę moskiewskiego carzyka. – Pan nasz najjaśniejszy wnet na Moskwę wyruszy upomnieć się o dziedzictwo Dymitra zbroją i orężem! Jesteśmy tylko forpocztem, podjazdem, pierwszą rotą! Na Moskwę, waszmościowie! Chodźcie z nami bić psich synów, wrogów naszych śmiertelnych!

A dalej były już tylko trakty, brunatne i rude pola, na których zaczynała się orka, pociemniałe lasy, dąbrowy i brzeziny przetykane pierwszymi żółtymi liśćmi. Spalone przez słońce, przykurzone gaje i bory. I droga, która wiodła w przód i w przód, na Gaje, nad rzeczulką Kabanówką, a potem nad potok Rogowiecki, który przy ujściu do Przegnojówki formował duży staw. Okolice była tu niska, płaska i nieco bagnista, ale grunty słynęły urodzajami, bo jeśli wiosna i lato bywały danego roku łaskawe, zdarzało się, że z jednej chełmińskiej morgi żyta zbierano czasem i cały tuzin korców krakowskich ziarna. Dlatego jeszcze zanim zabłyśły przed nimi sine wody stawu, Dydyński domyślił się, że dotarli do Glinian, otoczonych rowem i wałem, otoczonych ciągiem pól i zagonów z konopiami, z których zimą tkano mocne i twarde płótna wałowe sprzedawane przez miejscowych Żydów aż w Gdańsku.

Miasteczko było położone na handlowych traktach wiodących na Wiśniowiec, Zbaraż, Ostropol i Kijów, blisko Lwowa i Halicza. I dlatego zwykle odbywały się tutaj okazywania pospolitego ruszenia tudzież popisy wojska kwarcianego. A wiadomo, że gdzie pospolite ruszenie, tam zawsze tumulty, zwady i bunty, bowiem wyjątkowo przewrażliwiona na punkcie złotych wolności szlachta, wezwana do walki z koronnym nieprzyjacielem, gotowa była podgolić skrzydła samemu królowi.

Historia Glinian była pod tym względem równie barwna i bogata co żywot starej markietanki. Tu bowiem roku Pańskiego 1381 rycerstwo polskie podniosło bunt przeciwko królowi Ludwikowi, zaś w 1537, kiedy na polach pod miastem stanął król Zygmunt Stary, uczyniła się najpierw pijatyka. Z pijatyki zwada, ze zwady huczek, a z huczku sejm konny, z sejmu zaś nader blisko już było do rokoshu, bowiem szlachta zarządziła, aby król odebrał Mazowsze Bonie, herod-babie i włoskiej trucicielce, co też Zygmunt Stary, chcąc nie chcąc i kręcąc nosem, musiał uczynić na najbliższym sejmie. Bunt, który tu wybuchł, zwany był zresztą wojną kokoszą, bowiem gdyby panowie bracia równie dzielnie walczyli z Wołochami co z kurami z okolicznych kurników, byłaby Polska aż po Dunaj, a kto wie – może i po Konstantynopol.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki